

IMMANUEL KANT

O domniemanym prawie do kłamstwa z pobudek miłości ludzkiej*

W czasopiśmie *Frankreich im Jahr 1797*, cz. VI, nr 1 „O reakcjach politycznych” [autorstwa] Benjamina Constanta czytamy, co następuje (s. 123):

„Zasada moralna »mówienie prawdy jest obowiązkiem«, przyjmowana bezwarunkowo i w każdym przypadku, czyniłaby istnienie społeczeństwa w ogóle czymś niemożliwym. Dowód tego przynoszą nam bezpośrednio wnioski, jakie wyprowadza z niej pewien niemiecki filozof, który posuwa się do twierdzenia, iż byłoby zbrodnią skłamać mordercy, który ścigając naszego przyjaciela pyta, czy ten nie ukrył się u nas w domu.”¹

Francuski filozof odrzuca tę zasadę w sposób następujący (s. 124): „Obowiązkiem jest mówienie prawdy. Pojęcie obowiązku nie daje się oddzielić od pojęcia prawa. Obowiązkiem każdego jest respektować prawa kogoś innego. Tam, gdzie nie ma praw, nie ma i obowiązków. Mówienie prawdy jest zatem obowiązkiem, ale tylko w stosunku do tego, kto ma prawo do prawdy. A nikt nie ma prawa do takiej prawdy, która wyrządzałaby krzywdę innym.”

Jednak w twierdzeniu: „Mówienie prawdy jest obowiązkiem, ale tylko w stosunku do tego, kto ma prawo do prawdy” tkwi *πρωτον ψευδος* [źródłowa fałszywość].

Należy wpięrow zaznaczyć, że wyrażeniu „posiadać prawo do prawdy” trudno nadać znaczenie. Zamiast tego należałoby powiedzieć, że ktoś ma prawo do swej

* Podstawą przekładu jest: *Kants Werke*, Akademie Ausgabe, Berlin 1968, Bd. VIII, ss. 423-430.

¹ „J.D. Michaelis z Getynki przedstawił tę osobliwą opinię wcześniej niż Kant. Autor tego artykułu sam powiedział mi, że to właśnie Kant jest wzmiankowanym w tym fragmencie filozofem.”

K.F. Cramer†

† Poświadczam tym samym, że rzeczywiście tak powiedziałem w pewnym miejscu, choć nie mogę w tej chwili przypomnieć sobie gdzie.

własnej prawdomówności (*veracitas*), tj. do subiektywnej prawdy swej własnej osoby. Albowiem posiadanie prawa do pewnej prawdy w znaczeniu obiektywnym byłoby równoznaczne ze stwierdzeniem, że jak zawsze w przypadku rozsądzania granic tego, co moje a co twoje, jest sprawą czyjejs woli uznać dane twierdzenie za prawdziwe lub fałszywe, a to stworzyłoby niebywałą logikę.

Pierwsze pytanie brzmi zatem: czy ktoś, w przypadku gdy nie może uniknąć odpowiedzi „tak” lub „nie”, posiada uprawnienie (prawo), by nie być prawdomównym. Drugim pytaniem jest, czy nie jest on wręcz zobowiązany, gdy zniewala go występny przymus, twierdzić coś wbrew prawdzie, aby zapobiec grożącemu mu lub komukolwiek innemu przestępstwu.

Prawdomówność w przypadkach, których nie można uniknąć, jest obowiązkiem człowieka w stosunku do każdego innego², jakkolwiek nie miałaby z tego wynikać niekorzyść dla którejś z osób; i mimo że twierdzeniem fałszywym nie czynię nic złego temu, kto bezprawnie na mnie nastaje, niemniej popełniam fałsz, czym sprzeciwiam się najgłębszej istocie obowiązku w ogólności; fałsz ten może być zatem nazwany kłamstwem (choć nie w sensie prawnym). Sprawiam bowiem, że w stopniu, jaki zależy ode mnie, wszelkie możliwe twierdzenia (deklaracje) stają się niewiarygodne, a zatem i wszelkie prawa zagwarantowane umowami stają się niczym i tracą moc, a to z kolei oznacza nieprawość wobec człowieczeństwa w ogóle.

W ten sposób do kłamstwa, jeśli zdefiniujemy je jako złożoną rozmyślnie nieprawdziwą deklarację, nie trzeba już dodatku (którego żądają w swej definicji juryści), że musi ono komuś wyrządzić krzywdę (*mendacium est falsiloquium in praeiudicium alterius*). Albowiem kłamstwo zawsze wyrządza krzywdę, nawet jeśli nie komuś w szczególności, to jednak zawsze ludzkości w ogóle, jako że czyni ono źródło prawa czymś bezużytecznym.

Kłamstwo dokonane w dobrej wierze może jednak przez przypadek (*casus*) podlegać karze zgodnie z prawem cywilnym; natomiast [kłamstwo], które tylko przez przypadek kary uniknie, może zostać potępione jako nieprawość przez prawo zwyczajowe. Oznacza to, że jeśli dopuszczając się kłamstwa przeszkodziłeś przyszłemu mordercy dokonać zbrodni, jesteś w sposób prawny odpowiedzialny za wszelkie możliwe tego konsekwencje. Jeśli jednak trzymałeś się ściśle prawdy, to sprawiedliwość publiczna nie może wytoczyć żadnych zarzutów, bez względu na to, jakie nieprzewidziane konsekwencje mogłyby z [twego postępowania] wynikać. Kiedy już zgodnie z prawdą odpowiedzieliśmy „tak” na pytanie mordercy, czy prześladowany znajduje się w domu, wciąż jest możliwe, by ten niepostrzeżenie wymknął się i uszedł, zaś czyn nie został popełniony. Jednak jeśli skłamiemy i powiemy, że ściganego człowieka w domu nie ma, a ten (o czym nie wiedzielibyśmy) naprawdę opuściłby schronie-

² Wolę w tym miejscu nie wyodrężyć tej zasady do postaci: „Nieprawdomówność jest pogwałceniem obowiązku względem siebie samego.” To bowiem przynależy do etyki, zaś to, o czym w tej chwili dyskutujemy, jest obowiązkiem prawnym. – Nauka o cnocie widzi w takim wykroczeniu tylko niegodziwość, której zarzut ściga na siebie kłamca.

nie, przez co morderca dopadłby go i dokonał zbrodni, wtedy w zgodzie z prawem możemy zostać oskarżeni o spowodowanie jego śmierci. Jeśli bowiem oznajmiłbyś prawdę taką, jaka była ci znana, morderca mógłby w czasie przetrząsania domu w poszukiwaniu ofiary zostać ujęty przez przybyłych na pomoc sąsiadów, a zbrodni udałoby się zapobiec. Zatem kto kłamie, nawet jeśli czyni to w dobrej wierze, musi być także przed trybunałem odpowiedzialny za wynikające stąd konsekwencje i niezależnie od tego, jak nieprzewidywalne mogłyby się one okazać, być gotowym ponieść za nie karę. Albowiem prawdomówność jest obowiązkiem, który trzeba uważać za podstawę wszelkich gwarantowanych umowami obowiązków, która to zasada, gdy przyzwoli się tu na najmniejsze ustępstwo, staje się chwiejna i nieużyteczna.

Być prawdziwym (szczerym) we wszystkim, co wypowiadamy, jest zatem świętym i bezwarunkowym nakazem rozumu, nakazem, którego nie można ograniczać żadnymi konwenansami.

W związku z tym Constant czyni rozważną, a ponadto słuszną uwagę na temat ustanowienia zasad, które są tak surowe, że rzekomo przekształcają się w nieosiągalne idee i muszą przez to zostać odrzucone. – „Za każdym razem, pisze on (u dołu strony 123), gdy jakaś zasada, której prawdę udowodniono, wydaje się być niemożliwa do zastosowania, to dlatego, że nie znamy zasady pośredniej, która zawiera środki do wprowadzenia jej w życie”. Przytacza on (s. 121) doktrynę równości jako pierwsze ogniwo łańcucha społecznych powiązań, mówiącą, że „żadna istota ludzka nie może czuć się związana prawem innym niż to, które sama współstanowi. W niewielkiej i zwartej społeczności zasadę tę można zastosować w sposób bezpośredni - nie wymaga ona zasady pośredniej, aby stała się powszechna. Jednakże w dużym społeczeństwie należy do zasady, o której tu mowa, dodać zasadę nową. Ta, jako zasada pośrednia stwierdza, że jednostki mogą wziąć udział w stanowieniu praw albo osobiście, albo poprzez swych przedstawicieli. Jeśli ktoś chciałby bez przyjęcia zasady pośredniej zastosować zasadę pierwszą w wielkim społeczeństwie, nieuchronnie zamieniłby je w ruinę. Ale ta okoliczność, jako że dałaby jedynie świadectwo niedojrzałości i niekompetencji prawodawcy, nie podważa samej zasady”. – Wniosek (s. 125), jaki przedstawia, brzmi: „Zasady, której prawdziwość uznano, nie wolno zatem usuwać ze względu na niebezpieczeństwo, jakie pozornie stwarza.” (A przecież dobrodziej ten sam odrzuca bezwarunkową zasadę prawdomówności ze względu na niebezpieczeństwo, jakie musiałaby przynieść społeczeństwu, ponieważ nie mógł znaleźć żadnej zasady pośredniej, która mogłaby temu niebezpieczeństwu zapobiec; bo i rzeczywiście takiej zasady nie da się tu dołączyć.)

Jeśli mamy się trzymać przyjętego tu sposobu określania osób, ów „francuski filozof” pomieszał działanie, poprzez które komuś wyrządza się krzywdę (*nocet*) mówiąc prawdę, gdy jej wyznania nie można uniknąć, z działaniem, którym popełnia się nieprawość (*laedit*). To, że osoba będąca w moim domu dozna krzywdy na skutek prawdomówności, jest zaledwie pewnym przypadkiem (*casus*), nie zaś wolnym czynem (w sensie prawnym). Albowiem przyznanie komuś prawa do wymagania od innych kłamstwa, z którego ciągnąłby

korzyść, spowodowałyby roszczenie sprzeczne z wszelką legalnością. Każdy człowiek ma jednak nie tylko prawo, ale i jak najściślejszy obowiązek prawdomówności w wypowiedziach, których nie jest w stanie uniknąć, jakkolwiek mogły one przynieść krzywdę jemu lub innym. Właściwie to nie on sam wyrządza krzywdę temu, kto jej doznaje, ale powoduje ją przypadek. Nie ma on bowiem wcale wolności wyboru, gdyż prawdomówność (jeśli musi on w ogóle mówić) jest obowiązkiem bezwarunkowym. – Dlatego „niemiecki filozof” nie uzna za swoją zasadę twierdzenia „mówić prawdę jest obowiązkiem, ale tylko w stosunku do tego, kto ma prawo do prawdy” (s. 124) po pierwsze dlatego, że zasada ta o tyle nie jest jasno sformułowana, iż prawda nie jest jakąś własnością, do której ktoś ma zagwarantowane prawo, a ktoś inny nie; przede wszystkim jednak dlatego, że obowiązek prawdomówności (jedyna dyskutowana tu kwestia) nie czyni sam przez się rozróżnienia pomiędzy osobami w stosunku do których trzeba go przestrzegać, a osobami, w stosunku do których można być z niego zwolnionym; jest to bowiem we wszelkich stosunkach między ludźmi obowiązek bezwarunkowy.

Aby teraz przejść od metafizyki prawa (abstrahującej od wszelkiego uwarunkowania doświadczeniem) do zasady polityki (stosującej pojęcia w przypadkach praktycznych), a dzięki temu do rozwiązania problemu, jak pogodzić politykę z powszechną zasadą prawa, filozof określa: 1) aksjomat, a mianowicie apodyktycznie pewne twierdzenie wynikające bezpośrednio z definicji prawa zewnętrznego (zgodności wolności każdej osoby z wolnością wszystkich innych według praw ogólnych); 2) postulat (zewnętrznego prawa publicznego jako zjednoczonej woli wszystkich według zasady równości, bez której nie istniałyby wolność innych); 3) problem, jak postępować, aby bez względu na wielkość społeczeństwa istniała w nim stała zgodność według zasad wolności i równości (tworząca system reprezentacyjny); oto zasada polityki, której organizacja i treść zawierać będą dekrety ustanowione na podstawie danego doświadczeniu poznania istot ludzkich i jako takie określające tylko mechanizm sprawowania prawa i sposób jego celnego wprowadzenia. Prawa nigdy nie wolno dostosowywać do polityki, ale zawsze politykę do prawa.

Rzeczony autor pisze: „zasady uznanej za prawdziwą (do czego dodam: uznanej *a priori*, a zatem w sposób apodyktyczny) nigdy nie można odrzucić, nawet jeśli pozornie oznacza to niebezpieczeństwo”. Trzeba to jednak rozumieć nie jako niebezpieczeństwo (przypadkowego) skrzywdzenia, ale popełnienia nieprawości w ogóle, co miałyby miejsce, gdybym obowiązek prawdomówności, który jest całkowicie bezwarunkowy i stanowi najwyższą normę prawną dla wypowiedzi, uczynił czymś uwarunkowanym i podporządkowanym jakimś względem, i mimo że przez poszczególne kłamstwo, którego się dopuszczam, nie uczyniłbym w rzeczy samej nikomu nieprawości, to w aspekcie wszystkich nieuchronnie koniecznych wypowiedzi pogwałciłbym zasadę prawa w ogóle (czyniłbym nieprawość formalnie, mimo że nie materialnie), a to jest czymś dużo gorszym, niż popełnienie niesprawiedliwego czynu względem tej

czy innej osoby, gdyż uczynek taki nie zawsze zakłada istnienie w podmiocie zasady, którą się do niego stosuje.

Ktoś, kogo nie oburza pytanie, czy w wypowiedzi, którą ma uczynić, zamierza być prawdomówny czy nie, czyli podejrzenie, że mógłby być kłamcą, ale prosi on, aby wolno mu było zastanowić się nad możliwymi odstępstwami od prawdomówności, jest już kłamcą (*in potentia*), ukazuje bowiem, że nie uznaje prawdomówności za obowiązek sam w sobie, lecz rezerwuje sobie możliwość wyjątku od reguły, której istotą jest to, że nie dopuszcza wyjątków, gdyż wówczas przeczyłaby sama sobie.

Wszelkie zasady prawno-praktyczne muszą zawierać ścisłą prawdę, a tzw. zasady pośrednie jedynie bliższe określenie ich zastosowania do zachodzących przypadków (według reguł polityki), a nigdy ich wyjątki, bowiem te zniweczyłyby powszechność, dzięki której noszą one miano zasad.

*tłum. Adam Grzebiński
Dariusz Pakalski*